Wojewódzka Biblioteka Publiczna CZYTELNIA w Opolu

Kolekcja Emila Kornasia

Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Nr. 57 Lwów — Czerwiec 1929 Rok VI

PANTEON POLSKI

Poświęcony czynowi Józefa Piłsudskiego i bohaterstwu Żołnierza Polskiego, kronice walk o Niepodległość i pamięci poległych Obrońców Ojczyzny o wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

Lwów-Skrytka 98. — Telef. 22-90. — PKO. Warszawa 152.930. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 90 gr.

W ROCZNICĘ ROKITNY

Dnia 12 czerwca 1915 r. druga brygada Legjonów Polskich, wchodząca w skład armji generała Pflancer-Baltina, przeszła granicę rosyjską między Dniestrem i Prutem i ruszyła w kierunku wsi Rokitnej, gdzie na wzgórzach znajdowały się silne okopy rosyjskie. Następnego dnia w południe znalazła się tyraljera polska za bezludną wsią, oddalona o jakie 800 kroków od Moskali. Jednak bez wrócił, przywożąc rozkaz... rozkaz wykonania szarży na śmiercią ziejące okopy rosyjskie. Szwadrony ruszyły kłuso rozwiniętym szykiem w kierunku lasu, przesadziły w galopie rzeczkę Rokitnę i dopadły do pozycji, rozrzuconej w tyraljerę piechoty legjonowej. Tu rotmistrz dał komendę: „Trzeci szwadron pod wieś w rezerwę, drugi szwadron tyraljerą za mną — galop!“ W pełnym

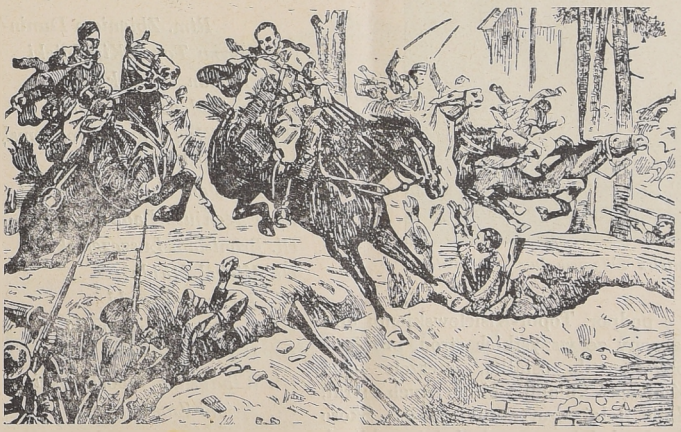

Szarża pod Rokitną, wedle obrazu Wojciecha Kossaka.

oskrzydlenia nie można ich było wziąć. Wówczas to szarżą od lewego skrzydła uderzyli na okopy rosyjskie ułani polscy.

W skład tej drugiej brygady wchodził dywizjon ułanów pod komendą rotmistrza Zbigniewa Dunin-Wąsowicza.

Około godziny pierwszej dnia 13 czerwca wezwano Wąsowicza do sztabu brygady. Po chwili galopie z dobytemi szablami, z rotmistrzem, wysuniętym na przedzie, pędziło 71 ułanów.

Dostrzegli ich już ukryci w okopach Moskale i zasypali gradem kul. Pierwszy padł Kubik Bolesław z trzeciego plutonu, trafiony kulą w czoło. Klacz jego szara z rzędu się nie wyłamała... szła bez jeźdźca dalej.

Pierwszy strzelecki rów zupełnie pusty prze-

sadzili. Tylko wachmistrz Wąsowicz przy skoku przewrócił się z koniem i ranny lekko zawrócił do wsi. Za tym rowem napotkali drugi, obsadzony piechotą. Kule coraz gęstsze i częściej trafiają. Piętnastu jeźdźców ubyło z szwadronu. Za chwilę i ten rów został zdobyty. Przed nimi już nie rów, ale darnią kryty okop strzelecki, a w nim pełno obrońców: salwa za salwą, głuchy turkot karabinów maszynowych, świst kul i chichot pękających szrapneli i granatów. W okopie była przerwa. Tędy wpadł galopem Wąsowicz ze swoim szwadronem; kilku ułanów ponad głowy Moskali przesadzili okop. Okop został zdobyty, przerażeni Moskale wznieśli ręce do góry.

Ale oto od prawej flanki pada gęsty ogień. Za chwilę ginie od kuli rotmistrz Wąsowicz. Na prawem skrzydle pada porucznik Włodek, ugodzony

Rotmistrz Zbigniew Dunin-Wąsowicz.

kulą w usta, a podpor. Topór-Kisielewskiemu ubito konia. Osaczony ze wszystkich stron, broni się szablą i rewolwerem do ostatka, wreszcie pada przeszyty ośmioma kulami. Mimo tych strat, szwadron mknie dalej, szarża nie ustaje. Skoro jednak 40 ułanów już to rannych, już to zabitych zasłało pole, załamał się atak szalony. Prędkim galopem wzdłuż okopów zawróciła przerzedzona gromadka jeźdźców do wsi pod ogniem karabinów i wśród pękających szrapneli. Z nowemi stratami wrócili na legjonową pozycję.

Szarża skończona! Brało w niej udział 71 ułanów, w tem 9 na patrolu bocznym. Zginęło 16, rannych 30, koni zabitych 24, rannych 22.

Trzeci szwadron już poprzednio został odwołany.

W nocy wojsko rosyjskie wycofało się.

Dla sławy i imienia Polski — ułani Wąsowicza — jak ci z pod Samosierry — przeszli do historji, pozostawiając potomnym przepiękny wzór cnoty rycerskiej i męstwa.

* * *

W ośm lat później, wolna już Polska upomniała się o te drogie szczątki bohaterów, pozostałe na straży u dawnych granic Rzeczypospolitej i w lutym 1923 r. sprowadzono je do kraju i wśród wielkich uroczystości złożono na cmentarzu rakowieckim w Krakowie.

Komendant Piłsudski osobiście dekorował „Virtuti Militari" szczątki ułanów, a cały naród oddał im cześć zasłużoną.

Na wspólnej mogile bohaterów ufundowało społeczeństwo krakowskie pomnik, postawiony w czerwcu 1923 r.

Mieści się on w środku trumien, na przestrzeni zwłok rotmistrza i obu poruczników.

Na frontowej ścianie cokoła znajduje się napis:

Tu spoczywają

Polegli w szarży pod Rokitną dn. 13. 6. 1915

ś. † p.

Rtm. Zbigniew Dunin-Wąsowicz
Ppr. Jerzy Topór-Kisielnicki
Ppr. Roman Włodek
Wchm. Tadeusz Adamski
Wchm. Władysław Nowakowski
Kpr. Karol Karasiński
Ul. Bolesław Kubik
Ul. Eugenjusz Łada
Ul. Bronisław Łuszczewski
Ul. Michał Majda
Ul. Jerzy Rakowski
Ul. Tadeusz Starczewski
Ul. Mikołaj Szysz
Ul. Władysław Tworkowski
Ul. Antoni Zwatschke

Na lewym boku:

Błyskawice Ich szabel były Jutrzenką Wolności, widziały ich i śnieżne szczyty Karpat i srebrzyste wody Cisy i bystre fale Czeremoszu i lasy bukowińskie ich widziały i brzegi Prutu i błonia naddniestrzańskie i besarabskie stepy i dzikie pola. Padli na polach Rokitny.

Ad maiorem Poloniae gloriam.

Na prawym boku:

Zmarli z ran odniesionych w szarży pod Rokitną i leżą w obcej ziemi

Ś. † P.

St. Ul. Emil Garbarczyk
Ul. Kazimierz Prokop
Ul. Bazyli Janiszyn
Ul. Wł. Sierkiejowicz

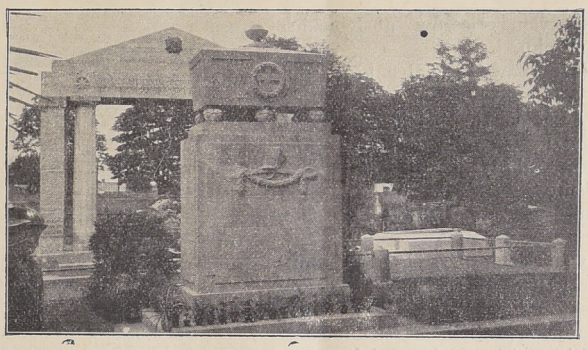

Pomnik Rokitniańczyków w Krakowie.

Tekst tego napisu jest układu *pułk. Jagryma-Maleszewskiego,* ob. gł. Komendanta Pol. Państw., uczestnika szarży, dwukrotnie wówczas rannego, który dostał się do niewoli, a po amputacji nogi, drogą wymiany powrócił do kraju.

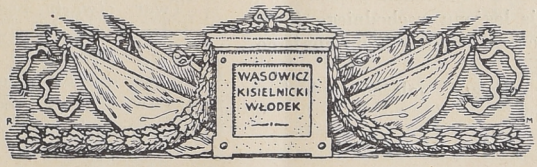

Dr. JAN ROGOWSKI.

W szkole podoficerskiej Legjonów w Kamieńsku

IV.

2 *maja* (niedziela). Zbudzono nas bardzo wcześnie, coś o 4-tej godzinie.

Zbiórka w pełnym rynsztunku, z wyjątkiem płaszcza i koca — i idziemy do Radomska na uroczystość 3-go Maja.

Idzie prócz nas druga kompanja. Zbiórka wszystkich oddziałów przed kompanją pierwszą o godz. 9-tej.

Potem była msza św. polowa — przed kościołem na rynku. Stał cały bataljon.

Co pewien czas padała komenda: „Do modlitwy — w lewo patrz!"

Po mszy św. poszliśmy na poświęcenie tablicy Kościuszki — na ulicy, której nazwy nie pamiętam.

Jak Radomsk Radomskiem, to od wielu, wielu lat nie widział takiej chwili. Nie widział polskiej chorągwi, wiodącej tłum: nie słyszał pieśni „Boże coś Polskę", śpiewanej przez ten tłum...

Inne wrażenia z tej uroczystości były niestety mniej podniosłe.

Po poświęceniu tablicy, odbyła się defilada przed jakimś pułkownikiem austrjackim.

I szedł pluton za plutonem, kompanja za kompanją, w końcu oddział ułanów.

Kim właściwie jest ten pułkownik, nie wiem. W każdym razie nie rozumie „ludzkiego języka“— jak mówił Jeziorański.

Po obiedzie — obiad dostaliśmy w trzeciej kompanji Rawicza — poszliśmy, cały bataljon, na uroczyste otwarcie strzelnicy.

Strzelnicę tę zbudowali nasi i Austrjacy. Na otwarciu więc byli obecni oficerowie austrjaccy i nasi.

Któryś z wyższych oficerów austrjackich przemawiał po niemiecku.

Mało co słyszałem z powodu wiatru, który głuszył słowa.

Mówił, że my bijąc się za Austrję, bijemy się za wolność swojej Ojczyzny. Wzniósł okrzyk na cześć cesarza Austrji, króla Węgier: okrzyk ten niechętnie powtórzyliśmy.

Po czem orkiestra nasza zagrała: „Boże wspieraj. Boże ochroń“.

Za chwilę, po wzniesieniu przez któregoś z oficerów naszych okrzyku na cześć niepodległej Polski — zagrała: „Jeszcze Polska“.

Staliśmy wszyscy wyprężeni, jak struny.

Potem oficerowie nasi i austrjaccy dali pierwsze strzały na strzelnicy. W ten sposób — raczej austrjacki, aniżeli polski — spędziliśmy tę uroczystość 3-go Maja.

Dzień ten nie pozostawił nam dobrego wspomnienia.

3 maja (poniedziałek). Czytałem broszurę p. t. „Pod sąd!“ — historja legjonu wschodniego. Rzecz napisana w Sosnowcu, z nadzwyczajną znajomością sprawy.

Miałem bolesny zaszczyt należeć do legjonu wschodniego.

* * *

Kilka razy widziałem komendanta bataljonu Galicę. Bliżej go naturalnie nie znam. O ile wiem, jest on inżynierem ze Lwowa.

Postawa okazała, wzrost wielki. Włosy jasne; oczy — jak mi się zdaje — niebieskie. Twarz energiczna, a energicznego wyrazu dodaje niewielka, rudawa bródka.

Jest w nim prawdziwa żołnierska zamaszystość.

Pięknie, naprawdę po rycersku, wygląda bataljonowy na koniu.

Dodam jeszcze to, że cechuje go także niezwykła uprzejmość.

Komendant szkoły Modelski. Bliżej go także nie znam.

Wzrost średni, zbudowany pięknie.

Jest w nim jakaś, że tak powiem — zuchowatość. A zuchowatość ta przebija i w niewielkich, jasnych wąsikach, podkręconych do góry, i w niebieskich oczach i w cienkim, ale energicznym głosie komendy.

Elegancja w ruchach.

Uprzejmość prawdziwa w obcowaniu z żołnierzami.

Z zawodu ma być profesorem gimnazjalnym.

A teraz charakterystyka przynajmniej kilku kolegów.

A więc — Jabłoński.

Były podoficer, praporszczyk rosyjski. Do wojska go nie wzięli, bo „zachorował“,

Wzrostu wysokiego, postawy naprawdę okazałej. Wspaniale wygląda w szeregu, kiedy idzie z wypiętą naprzód szeroką piersią i głową do góry wzniesioną.

Twarz ogorzała, oczy czarne, bystre, poczciwe; wąsy czarne, rozczapierzone na końcach.

Piękna, męska, a prawdziwie sarmacka twarz.

Kowalski. Wzrost średni, oczy piwne, dosyć głęboko osadzone.

W pochodzie, np. wczoraj, co chwila przeklina, zaczepia dziewczęta, lubuje się w nieprzystojnych żartach.

Nie umie cierpliwie znosić niewygód żołnierskiego życia. Np. wczoraj, kiedy nas trochę zmęczono, a nie dano na wieczerzę herbaty, z powodu spóźnionej pory, — narzekał, wymyślał na oficerów, szerząc w ten sposób demoralizację. W oczach ma coś niemiłego.

Edzio Frydrych. Z zawodu hreczkosiej. Skończył szkołę rolniczą, gdzie — tego nie wiem. Wzrostu średniego, niższy odemnie.

Twarz otwarta, poczciwa, mina trochę — jak się jeden z kolegów wyraził — „naiwna“.

Nie koniecznie się z tem zgadzam, bo nasz Edzio jest owszem chłopcem inteligentnym, tylko prawdziwy z niego hreczkosiej. Oczy czarne, jakby przygasłe. W postawie przebija jakby pewnego rodzaju opuszczenie i zaniedbanie.

Dzień 3 Maja był wolny od zajęć.

Wieczorem był obchód Konstytucji, urządzony przez szkołę podchorążych.

Nie byłem na nim; wiem tylko, że grano z „Dziadów“ scenę w celi Konrada.

Prócz tego była jakaś zabawa dla dzieci.

Dostałem dzisiaj listy od dawnych kolegów szkolnych: Brücknera i Mękarskiego. Brückner, który przebywa obecnie w Serbji, pisze, że chce w życiu swojem obrać drogę nauki, ażeby pracować dla Ojczyzny duchowej.

A Mękarski donosi mi z Wiednia, że czyta obecnie estetykę Lippa, że ogólno akademicki komitet urządza obchód 3 Maja itd...

Najnowsze wiadomości, — nie wiem, czy pewne, ale — zdaje się — pewne, donoszą o wielkiem zwycięstwie wojsk austr.-niemieckich w Karpatach, 3 tysiące Moskali wzięto do niewoli. A jeżeli dodamy, że linja Libawa — Dźwińsk jest już obsadzona przez Niemców, to zrozumiemy, że państwa centralne odniosły wielkie sukcesa.

4 maja (wtorek). Po krótkim wykładzie Jezio-

rańskiego o placówkach, odbyły się ćwiczenia w służbie placówek.

Po południu rozdano nam ostre ładunki, podzielono na kilka patroli — i wyprowadzono w pole. Dowiedzieliśmy się, że idziemy łapać szpiegów, którzy pojawili się w Kamieńsku. Jeden wysoki, czarno ubrany, w kapeluszu, drugi niski, bosy, buty niesie na plecach.

Przeszliśmy Kamieńsk. Zaraz w następnej wsi, przed nami, — patrol mój prowadził Bogarzewicz — strzały: to patrol pierwszy strzelał do uciekających chłopów w stronę lasu.

Okazało się, że chłopi ci uciekali w obawie; by ich nie wzięto do wojska, a nasi żołnierze, nie zbadawszy sprawy, zaczęli walić z karabinów; całe szczęście, że kule chybiły. Ludność we wsi przerażona.

No, jeżeli w ten sposób mamy ją dla legjonu zyskiwać, to dziękuję. I tak wysiłki emisarjuszy w powiecie Nowo-Radomskim dały wyniki marne.

Szliśmy przez wsie Gorzkowice, Sobakówek i inne, których nie pamiętam. Przechodziliśmy w linji tyraljerskiej, z nałożonym bagnetem, lasy.

Zatrzymaliśmy kilka razy spotkanych ludzi.

Punkt zborny był we wsi Gościnna, do której doszliśmy późnym wieczorem. W szkole dostaliśmy po szklance herbaty i skibce chleba.

Po ciężkim, męczącym pochodzie, w czasie którego niejeden wywrócił się w rów lub orał nosem przydrożne kamienie, wróciliśmy o godzinie 1-szej w nocy do Kletni (tak się nazywa osada fabryczna, w której mieszkamy).

Uszliśmy co najmniej 40 wiorst.

5 maja (środa). Spaliśmy naturalnie długo. Dopiero o godzinie 10-tej zawołano nas na wykład kapelana naszego ks. Gilewicza.

Ks. kapelan mówił o zaszczytnych obowiązkach żołnierza, o honorze żołnierskim. Potem mówił o piosenkach żołnierskich. Zachęcał nas do śpiewania dawnych naszych powstańczych piosenek, bo taka pieśń nastraja na pewien bohaterski ton.

Potem mówił o czystości. A mówił to wszystko po prostu, po żołniersku, nie dobierając słów.

Dał się dalej poznać jako zawzięty wróg Rosji. „To wszystko jedno, czy kopnę Moskala kolbą w pysk, czy bagnetem w...". Tu „mocne" słowo, nieco dziwnie brzmiące w ustach kapelana.

Po południu wykład chorążego Robla o służbie wartowniczej i chorążego Szczepańskiego o mapach.

Wieczorem czytałem wezwanie c. k. komendy obwodowej w Nowo-Radomsku do ludności, aby zgłaszała się do robót koło dróg, mostów itd. Zapłata 3 kor. dziennie — mężczyzna, 2.50 kor. — kobieta.

Wstąpiłem do mleczarni, gdzie dowiedziałem się, że w najbliższych dniach mają odbyć się manewry 4 pułku w okolicach Częstochowy.

6 maja (czwartek). Rzeczywiście zanosi się na coś. Uczono nas dzisiaj rozbijania, a raczej lepiej będzie powiedzieć — ustawiania namiotów.

Rynsztunek mamy już spakowany; zaraz po obiedzie mamy iść do Nowo - Radomska. Pochód był bardzo ciężki z powodu dnia gorącego i prochu.

Cały bataljon był zebrany przed 1 kompanją. Mówiono, że w nocy będziemy iść dalej. Okazało się to jednak nieprawdziwem.

Zaprowadzono nas na kwaterę do jakiejś fabryki, gdzie będziemy spać na gołej, brudnej, pełnej śmiecia podłodze. Powiedziano nam, że wieczerzy nie dostaniemy; każdy więc poszedł na własną rękę — szukać jedzenia, t. zn. kupić je.

A tymczasem w austrjackiej kuchni była o godzinie 9-tej przygotowana dla nas wieczerza.

Stosunki w naszej szkole nie są zbyt dobre — zwłaszcza pod względem jedzenia, na co uskarżają się wszyscy.

Noc spędziliśmy bardzo niewygodnie: wielu nie rozbierało się zupełnie, spodziewając się alarmu.

Tymczasem okazało się, że z manewrów nic nie będzie — z jakich powodów, nie wiem. Mówią, że Prusacy nie pozwolili; jest to rzeczą bardzo możliwą.

7 maja (piątek). Około godz. 10-tej pochód powrotny do Kamieńska — pochód ciężki, męczący.

Gorąco okropne, kurz niemożliwy. Każdy rzemyk wbija się w twoje ciało.

Przyszliśmy do Kamieńska, — nie pozwolono nam nawet porządnie odpocząć — i przeprowadzka z jednego końca fabryki na drugi. Obiad, a zarazem wieczerzę dostaliśmy dopiero o godz. 5-tej.

Wiara szemrze. Wogóle stosunki stają się nieznośne. W całej szkole niezadowolenie.

Dzisiaj Białas pokłócił się z jednym oficerem 3 kompanji, która także przychodzi do Kamieńska.

Nic dziwnego, że prosiłem o przydzielenie do artylerji, na co mi odpowiedział zastępca komendanta szkoły Jeziorański — Modelski jest obecnie komendantem 3 kompanji, — że jeżeli będzie utworzona kadra artylerji w 4 pułku, to będą nas przydzielać.

8 maja (sobota). Mamy dziś święto św. Stanisława, patrona Królestwa Polskiego.

Odbyła się msza św. polowa, na której były obecne wszystkie oddziały, kwaterujące w Kamieńsku.

Śliczny ołtarz, zbudowany z choiny. Potem była defilada przed pułkownikiem Albinowskim, komendantem szkoły podchorążych. Pułkownika Albinowskiego znam dobrze ze Lwowa.

Jak pisałem już stosunki w szkole są niemiłe i nieznośne. (Przypuszczam, że jest to chwilowe).

Za krytykę komendantów, za zbyt głośne objawianie swego niezadowolenia, dostało się trzech naszych do kozy. A mianowicie: Jabłoński,

Kowalski i jeszcze jeden, którego nazwiska nie pamiętam.

Stosunki w szkole muszą ulec zmianie. Postaram się dostać do artylerji.

9 maja (niedziela). Jak różnorodne były losy legjonistów legjonu wschodniego!

Jest ich kilku w szkole podoficerskiej. A mianowicie, prócz mnie, Walkowski, Lisowski, dwaj bracia Pasiewicze, Kuliński, Chociszewski, — a może jeszcze ktoś się znajdzie.

Ja sam po rozwiązaniu Legjonu Wschodniego różne przechodziem losy; a jednak przeszedłem mniej niż inni.

Taki np. Walkowski, uczeń szkoły realnej ze Lwowa, służył jako parobek u jednego Szwaba na Morawach.

Pracował dalej przy budowie baraków w Choczni; wreszcie wstąpił do legjonu. Pasiewicze kopali ziemniaki w Prusach, sypali szańce koło Wiednia — wrócili wreszcie do legjonu.

Kuliński służył w drugim pułku, bił się w Karpatach.

(C. d. n.)

STANISŁAWA SOZAŃSKA.

Z przeżyć na Pokuciu
1914 — 1919 r.

III

Nadszedł dzień pierwszy listopada, a z nim hiobowa wieść: Ukraińcy zajęli urzęda i z bronią w ręku ogłosili się panami tej ziemi pokuckiej, krwią męczeńską zlanej. Zdawało się, że nie przeżyjemy walki, jaka się znów rozpoczęła, tembardziej, że to wszystko zaskoczyło nas zupełnie niespodzianie i nieprzygotowanych.

Raniutko, dnia 4 listopada, ktoś puka do drzwi; wchodzi żydek z karteczką w ręku, na której drżącą ręką skreślona jest prośba o pożywienie — o chleb i jeszcze raz chleb. Patrzę na podpis i nie wierzę swoim własnym oczom: „Dr. Lauber“ docent Uniwersytetu Wiedeńskiego, ten, który mieszkał u mnie, będąc dyrektorem, okulistą, w szpitalu w Kołomyji. Zbieram się spiesznie, pakuję do kosza co tylko mam w domu, tj. chleb, masło, słoninę, jabłka, powidło i blaszankę mleka. Spieszę ze żydkiem aż na dworzec kolejowy. Jaki okropnie smutny był widok dworca, na którym przewijało się trochę służby kolejowej, a więcej jeszcze straży z najeżonymi bagnetami. Na torze stoi parowóz bez pary i cały szereg wozów, okna pozasłonione. Wpadam pospiesznie i szukam Dra Laubera, który spostrzegł mię; nie poznaję go ale w pierwszej chwili, tak jest zbiedzony i zziębnięty, tylko w bluzce, mimo, że było już mroźno na dworze. Pierwsze słowa zapytania: „czemu p. Dr. bez płaszcza?“ W milczeniu zbliża się do przedziału, otwiera drzwi i mówi: „oto mój płaszcz“, wskazując na obłożnie chorego żołnierza, który był nim przykryty: „biedakowi amputowaliśmy nogę w chwili, kiedy Ukraińcy zajęli Czerniowce na Bukowinie, a równocześnie podpalili budynki rządowe, nie szczędząc nawet szpitala, który jest pod opieką Czerwonego Krzyża. Pozwolili nam wyjechać, ale dokąd i gdzie nas wiozą wraz z chorymi bez chleba, nie wiem. Obdarli nas z wszystkiego, a nawet nieszczęśliwych chorych nie szczędzili: zabrali im ostatni koc, który był ubraniem i okryciem“. Łzy ciężkie spływały mimowoli, patrząc na niedolę tak ciężko chorych żołnierzy, którzy wyglądali jak żywe trupy, a dla których nie było ani kropli ciepłej herbaty lub mleka. Po pierwszem, strasznem wrażeniu, wyjęłam trochę moich prowiantów z koszyka, by pokrajać chleb na kromki, a tymczasem doktor sam rozdzielał po trochę mleka zimnego chorym. Prowiant oddałam drowi, a próżną blaszankę zabrałam, by pójść do miasta i znów postarać się o kilka litrów mleka. Nie mając pewności, czy ich zostanę jeszcze na dworcu, prosiłam doktora, by sobie zanotował adres mego syna, który był wówczas we Wiedniu na studjach w Akademji Lasowej. Bez tchu, nie czując wyczerpania, biegłam na rynek, by kupić trochę mleka i kilka bochenków chleba. Po godzinie byłam już powtórnie na dworcu z kilkoma mleczarkami, ale nadaremny był mój trud — odjechali, jak mnie informoawno, przez Stryj rzekomo do Wiednia.

Tak minęło znów kilka dni ciężkich, bez żadnej zmiany i bez wieści ze świata, a tu Ukraińcy na dobre się instalują, co chwila nowe ogłoszenia i zarządzenia władz ukraińskich, a biada temu, ktoby się ośmielił zaprotestować przeciw ich zarządzeniom. Już o godzinie 8-ej wieczór zamierało miasto zupełnie, nie wolno było nikomu wyjść z domu, nawet do najbliższych sąsiadów. Ukraińcy zaczęli internować nietylko wojskowych, ale i spokojnych mieszkańców Polaków.

W pierwszej połowie listopada przywieźli Ukraińcy kilkunastu Polaków z okolicy i umieścili ich w więzieniu przy ul. Romanowskiego, część zaś w magistracie. Głodni i wyczerpani sie-

dzieli młodzi i starcy, nie wiedząc, za jakie przewinienia ich uwięzili. Czekali z dnia na dzień jakiegoś sądu, a raczej końca. Mijały dnie, mijały tygodnie, coraz większa rzesza uwięzionych. Już brakło miejsca w więzieniu przy ul. Romanowskiego, więc Ukraińcy zaczęli umieszczać aresztowanych w szkole Piramowicza obok kościoła parafialnego. Po kilku dniach umieścili innych w budynku szkoły im. Barona Hirsza.

Teraz znów ta sama prawie garstka pań bez żadnych zebrań i wyborów zgrupowały się około osoby p. Miziewiczowej. U niej to schodziłyśmy się celem omówienia wspólnej pracy dla ulżenia niedoli uwięzionych. Z początku każda z pań działała na własną rękę jak mogła i umiała, na razie bez programu. Więc Sozańska wraz z p. Łukowską, nauczycielką, postanowiły zbierać trochę prowiantów na naszej dzielnicy; żaden dom polski nie odmówił łyżkę strawy, przytem dzień naprzód uwiadomiono dobroczynne gosposie, jaka będzie zupa, aby wszystkie domy taką dawały, by móc ją w jednym baniaku zebrać. Kiedy zbiórka była skończona, ciągnęłyśmy na sankach, a służąca moja — 15-letnia Karolina Sikora — chętnie pomagała, potrącając z tyłu sanie; uważała, by czegoś przypadkiem nie zgubić. Wstęp do internowanych był dozwolony między godziną 3 a 4 popołudniu.

Kiedy wybiła godzina 3, dymiący baniak zajeżdżał na dziedziniec. Teraz trzeba było opłacać się stojącym na straży, bo mimo pozwolenia władz, robili co dnia innego rodzaju trudności. Największą przykrością dla nas były chwile, kiedy brakło dla kilku lub kilkunastu głodnych trochę tej ciepłej zupy. Postanowiłyśmy urządzić inaczej, a mianowicie: zbierać po domach wpisy, co kto da ze surowych prowiantów. Każda pani posyłała do p. Ludwigowej, a ona wraz z innemi paniami gotowała w dużych kotłach rozmaite zupy, a czasami i gulasz z ziemniakami. Jednakże każdy dzień stawał się rokiem, bo coraz to więcej trosk, coraz to większa ilość internowanych. Pomoc pozornie pozwolona ze strony Ukraińców, była im solą w oku. Postanowili umieścić biednych internowanych daleko za miastem, sądząc, że społeczeństwo polskie opuści wreszcie swoich, kiedy to wszystko będzie połączone z trudami.

Codziennie powiększa się liczba internowanych Polaków; zbiera się więc Komitet, któryby mógł wystąpić jako taki przed władzą okupacyjną. Do Komitetu należą i panowie, odważniejsi; wielu zaś patentowanych patrjotów ukryło się w mysiej dziurze, byleby nie narażać swej osoby na jakiekolwiek nieprzyjemności i odpowiedzialność. W drugiej połowie listopada 1918 roku postanowił Komitet wydelegować kilku panów i pań do komendy miasta Kołomyji z prośbą, by władze ukraińskie pozwoliły za poręczeniem przebywać internowanym w domach prywatnych. Na ochotników zgłosili się aptekarz Juljan Łopatka, śp. Gyurczak, profesor gimn. i pisząca te wspomnienia.

Jakiś dziwny lęk opanował mnie, pierwszy raz w życiu, na widok tych żołnierzy w kuczmach, o rozwydrzonych fizognomjach; wrażenie minęło po kilku minutach czekania w pokoju pisarzy, nim się otwarły drzwi do pokoju komendanta Czajkowskiego. Naszą misję przedstawił p. Łopatka. Komendant po krótkiej rozmowie zgodził się na propozycję Komitetu z zastrzeżeniem, że poręczy troje osób pisemnie majątkiem i głową. Natychmiast postanowiliśmy wykorzystać dobry humor i prosimy o wystawienie deklaracji, byśmy mogli ją zaraz podpisać. Po chwili zwraca się Czajkowski z uprzejmym uśmiechem i prosi, bym sprowadziła jeszcze jakiegoś pana, by podpisywał deklarację, lecz ja również z uśmiechem odpowiadam: „ależ panie, ja tak samo mogę wisieć jak i mężczyzna" — na co on znów: „ta naj bude koty tak każete". Wracamy uszczęśliwieni, że tak dobrze poszła nasza sprawa. Zaczyna się werbunek pań i panów do podpisywania i ręczenia swoją osobą. Początkowo Sozańska, Łopatka i Gyurczak ręczyli za kilkadziesiąt osób, lecz wkrótce kazali na każdej pojedynczej deklaracji ręczyć trzem innym panom. Powstał popłoch wśród panów. Upłynęło dwa dni bez podpisu; aż wreszcie udało mi się namówić mego męża Władysława Sozańskiego, który poszedł wraz z ojcem wyżej wspomnianej nauczycielki p. Kazim. Łukowskim, i tak pierwsze lody prysły iznów zaczęli miejscowi panowie podpisywać deklaracje.

Nie opiszę tej radości, kiedy po wymaganych formalnościach pierwszych kilku internowanych, a było ich 8-miu, sprowadziliśmy.

Zapraszam na razie wszystkich do mego domu na podwieczorek; tam przy ciepłej herbacie pomyślimy co robić dalej. Biedni bezdomni godzili się na wszystko chętnie, ciesząc się swoją wolnością. Gromadnie wpadamy do mieszkania, dużo krzyku, hałasu; sadowię nieśmiałych gości do stołu i zaczynam się krzątać, by każdemu podać szklankę gorącej herbatki (było to o 5-tej wieczór) i kromkę chleba z powidłami. P. Łukowska i p. Dwernicka poszły zaraz starać się o rozmieszczenie po sąsiadach. Wracają z dobremi wiadomościami. Jednego bierze pani Dwernicka, dwóch Łukowska, dwóch Ziemińska, jednego Kosowska, a dwóch zostaje u mnie — i to niejaki Wojtowicz ze Sambora, słuchacz agronomji i naczelnik stacji kolejowej również ze Sambora p. Hoszowski. Ci pierwsi mieli szczęście, bo po kilku dniach komenda miasta pozwoliła im wrócić do miejsca ich zamieszkania; wśród nich był też oficer legj. w przebraniu cywilnem, Strzelecki ze Stryja. Po uwolnieniu pierwszych internowanych zrobił się ruch wśród Polonji kołomyjskiej: na wyścigi chodzili podpisywać ponowie, a panie gościły biedaków u siebie w domu bardzo chętnie.

W drugiej połowie listopada już około stu kil-

kudziesięciu internowanych było na prywatnych mieszkaniach. Zdarzały się i tu tragedje, mimo miłosierdzia (smutne to, ale niestety prawdziwe!) Często panie zabierały doktorów, inżynierów, wyższych urzędników, zaś biedaków — chociażby tylko z wyglądu — zostawiano. Pewnego dnia, kiedy wróciłam z komendy miasta z paczką kartek z nazwiskami tych, którzy mieli opuścić swe więzienie i gdy odczytywałam nazwiska, przystępuje do mnie pewien młodzian ze słowami: możeby pani chciała pomówić z tym pod ścianą, leży w łóżku i jest umierający. Natychmiast podeszłam do niego, pytam co mu jest, a on rozżalony dostał ataku spazmatycznego płaczu; trwało to dość długo, nim mógł zapanować nad sobą i w końcu powiedział: „wróciłem do domu z niewoli rosyjskiej, gdzie mnie katowano (pokazał blizny na twarzy, głowie, plecach, u rąk palce wykręcane), 14 dni byłem w domu, a teraz znów jestem więźniem". Obiecałam mu, że jutro napewno zabiorę go i pożegnałam się. Wszystkie dnie poprzednie byłam tylko gościem w domu, załatwiając sprawy internowanych u wszystkich możliwych władz; to też kiedy wstałam, rano, już byłam w komendzie miasta. Komendantem był wtedy Halibej, kapitan ukraiński, człowiek w całem tego słowa znaczeniu. Cierpliwie wysłuchał mnie i zarządził natychmiast przeglądnięcie papierów owego internowanego, a ponieważ niczego nie było w aktach, przyobiecał go uwolnić jeszcze tego samego dnia. Udałam się na ulicę Kopernika i wyczekiwałam pod oknami budynku, aż się ukaże ktoś z internowanych, by choremu Szklarskiemu podać dobrą wiadomość. W godzinach dozwolonych popołudniu oczekiwałam na żołnierza, który miał przynieść kartki uwolnienia, a tymczasem ja wraz z jednym znajomym akademikiem ubieraliśmy chorego, by był przygotowany. Dopiero o godzinie 6-tej nadszedł żołnierz z rozkazami do straży. Jakież było rozczarowanie, gdy owego internowanego kartki nie było! Nie czekając ani chwili, zostawiłam akademika Donschaka przy chorym, a sama biegnę do komendy. Okazuje się, że tylko przez złośliwość jeden z pisarzy zatrzymał kartkę u siebie na biurku. Nim te formalności przeprowadzono, było już po 7-ej, a tylko do godz. 8-mej wolno było chodzić po mieście; więc proszę komendanta Halibeja, by mi dał jakieś pozwolenie. Komendant rozkazał jednemu ze straży odprowadzić mię na ulicę Kopernika, a później do domu. Chory sam się podniósł i wstał z łóżka — ale zaledwie przeszedł parę kroków, znów osłabł. Bierzemy go pod ręce i opuszczamy dom rozpaczy. Długo niezmiernie trwała droga, często trzeba było odpoczywać, ale wkońcu przybyliśmy do celu. Chorego umieściłam w saloniku, przesiedział dni kilka, a wreszcie pozwolono mu wrócić na łono rodziny do Sambora, bo już i tam były władze ukraińskie.

Około 25 listopada 1918 znów przyprowadzili kilkudziesięciu nowych internowanych. Dałam zeszyt, by wpisywali nazwiska nowo przybyłych, a zwykle jeden drugiemu oddawał. Czytam: Zygmunt Klican, wołam go — to ten sam, którego znałam dzieckiem. Zaraz następnego dnia robię starania, a wraz z nim zabrałam też Jastrzębskiego, inżyniera miejskiego z Przemyśla, staruszek 64-letni, wynędzniały i chory. Obaj byli u mnie przez 3 tygodnie, tak długo trwało, nim władze ukraińskie dały przepustki Kleeanowi do Tłustego, gdzie jego brat Tadeusz był wikarym, lecz zaledwie tam pojechał, poraz drugi aresztowali go wraz z bratem. Jastrzębski zaś udał się do Obertyna, również do brata, który tam był dyrektorem Tow. Zaliczkowego. Staruszek był licho ubrany, a że to był grudzień i mrozy silne, więc dałam mu ciepły koc, by się zawinął na drogę.

Internowani w Bursie w Kołomyji 1919 r.

Jak w kalejdoskopie zmieniali się ludzie, wchodząc i wychodząc przez mój dom; wciąż byli inni, ale jeszcze były to dobre czasy, bo władze ukraińskie pozwalały wracać niektórym jednost-

kom do miejsca zamieszkania, o ile już było zajęte przez nich. Jeden z ostatnich szczęśliwców był porucznik legj. niejaki Piotrowicz z Drohobycza, miał pseudonim Świniarski, młody człowiek, piersiowo chory, którego zabrałam do siebie, a po kilku dniach dostał przepustkę do Rumunji; stamtąd wyrywał przez Węgry do Warszawy, zaciągnął się do W. P. i służy dotychczas. Dałam mu plecak i trochę prowiantów na drogę, nadto 50 koron dla niego a 60 koron dla mego syna Tadeusza, o ileby dostał się szczęśliwie do Wiednia.

(C. d. n.).

JAN STAROŚCIAK.

Z dywizją polską na Syberji.

Po dwudniowej podróży, przybyliśmy trzeciego dnia wieczorem do miasta Penzy, gdzie stało już kilka pociągów z wojskiem, przeznaczonym na front. Niezwłocznie po przybyciu otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia naszego eszelonu, ponieważ miano nas wcielić do innych oddziałów, zajmujących opodal stojące pociągi. Jakkolwiek dwudniowy mój pobyt w szeregach czynnej armji rosyjskiej należał do dość wesołych, niemniej jednak nie miałem bynajmniej zamiaru bawić się dłużej w żołnierza, przeto korzystając z ciemności nocy i tumultu, jaki panował na stacji, postanowiłem czemprędzej się ulotnić. Pozostawając moich nowych towarzyszy broni i całą ich armję — życząc im w duchu wszystkiego najlepszego — ująłem delikatnie moją walizkę, wyszedłem jakby od niechcenia wraz z innymi z wagonu i chodząc następnie tam i z powrotem, oddaliłem się nieznacznie w stronę starych wagonów, stojących poza obrębem świateł, gdzie upewniwszy się, że obok mnie niema żywej duszy, zrzuciłem ze siebie mundur, a przebrawszy się następnie w ubranie cywilne, wyszedłem ze swego ukrycia, kierując się z zachowaniem niezbędnych środków ostrożności ku wyjściu ze stacji w stronę miasta. Znalazłszy się po kilku godzinach w mieście, uczułem się swobodny, pozbawiony obawy ewentualnego prześladowania ze strony władz wojskowych. Po rozglądnięciu się, udałem się do pewnej drugorzędnej kawiarni i po zajęciu miejsca kazałem sobie podać herbatę po rosyjsku, t. zn. samowar, czajnik i filiżankę, a to w tym celu, by nikt z obecnych nie zwrócił na mnie uwagi, jako cudzoziemca.

Opodal mnie, tuż przy drugim stoliku siedziało dwóch mężczyzn, rozmawiających przyciszonym głosem po polsku, a że będąc w Penzie po raz pierwszy i chcąc zasięgnąć pewnych informacji, począłem się bacznie przypatrywać moim sąsiadom w nadziei, że będę mógł się od nich cośniecoś dowiedzieć. Przysłuchując się ich rozmowie, poznałem po akcencie, że są to Polacy z Galicji, co dało mi niezwłocznie powód do domysłu, że ci panowie tak jak i ja nie są czem innem, jak tylko sprytnie przebranymi jeńcami. Przeprosiwszy ich, poprosiłem o pozwolenie zajęcia miejsca przy ich stoliku nadmieniając, iż jestem również Polakiem, i po przedstawieniu się im, zapytałem skąd pochodzą. Moi nowi znajomi nie okazywali bynajmniej z początku wobec mnie grzeczności, naodwrót dość niechętnie i podejrzliwie przypatrywali się mej osobie i odpowiedzieli, że pochodzą z Królestwa Polskiego. Żyjąc przez dłuższy czas w Rosji na tak zwany wilczy paszport, wiedziałem z własnego doświadczenia, że ten tylko jest skryty i niepewny siebie, kto boi się być na czemś przyłapany. To samo odnosiło się do moich nowych znajomych, byli niepewni, budząc tem samem moje podejrzenie.

Po dłuższej wymianie zdań na temat rewolucji, moi rodacy cedzili przez zęby wszelkie zdania, dając wyraźnie do poznania że byliby bardzo zadowoleni z mego ulotnienia się. W końcu zdołałem skonstatować, że domysły moje były słuszne i mam rzeczywiście do czynienia z przebranymi jeńcami wojennymi. Wówczas, przeskakując nagle z tematu na temat, zapytałem ich gdzie pracują, a otrzymawszy odpowiedź, że pracują przy budowie fabryki broni za miastem, zwierzyłem się im, że również poszukuję pracy i zapytałem się czy nie mógłbym przy ich pomocy znaleźć ją we fabryce gdzie pracują. Moi towarzysze odrzekli, że można to zrobić, zapytując jednogłośnie „kto pan jesteś?", na co odpowiedziałem, że jestem Polakiem, poddanym rosyjskim, a obecnie pragnę się ukryć przed służbą wojskową, nie mając najmniejszej ochoty pójścia na wojnę. Po tych słowach ci dwaj panowie nieco zmiękli, a nawet wzięli mię do swego mieszkania, położonego na końcu miasta i złożonego ze skromnie lecz schludnie umeblowanego pokoju, obiecując, że postarają się dla mnie o pracę we fabryce. Na trzeci dzień na skutek starań moich nowych towarzyszy, otrzymałem miejsce we fabryce jako zwykły robotnik, pracując w partji, której dziesiętnikiem był jeden z nowych mych znajomych. Przyjęcie moje do pracy nastąpiło bez żądania ze strony administracji fabryki jakichkolwiek dokumentów, to też chwilowo czułem się bezpiecznym.

Korzystając z wolnych od zajęcia chwil, zwiedzałem miasto i w czasie jednej z wędrówek, natknąłem się na komitet ukraiński pomocy ucie-

kinierom. Zacząłem kombinować, czy nie możnaby z tego komitetu otrzymać jakie dokumenty.

Rozmyślając tak nad swym losem, po przyjściu do domu mych nowych przyjaciół, zwierzyłem się im z mojego planu w sprawie dokumentów, na co otrzymałem odpowiedź, że rzecz ta jest wykonalna, tylko połączona jest z pewnemi kosztami, gdyż potrzeba dać łapówkę, całą zaś sprawą mogą się zająć, co przyjdzie im tem łatwiej, ponieważ mają w komitecie znajomego sekretarza. Godząc się na to, ułożyliśmy plan zaproszenia wspomnianego sekretarza do nas, w którym to celu urządziliśmy na dzień następny małą bibę. Po przybyciu tego pana, przyjąwszy go należycie, uraczyliśmy go porządnie wódką, którą aczkolwiek z trudem i wysokiemi kosztami udało nam się dostać, a wsunąwszy mu dyskretnie do ręki banknot pięćdziesięcio rublowy, otrzymałem od niego słowo, że najdajej do dni trzech otrzymam od niego odpowiednie papiery.

Po trzech dniach niecierpliwego oczekiwania, pan sekretarz, dotrzymując dane słowo, zjawił się u nas i wręczył mi dokument na nazwisko Piotr Garazd uciekinier z Galicji, z zastrzeżeniem, żebym tego dokumentu używał dopiero po opuszczeniu Penzy. Po tym fakcie pracowałem jeszcze na poprzedniem miejscu dwa miesiące, doczekawszy się przewrotu październikowego, który zrzuciwszy Kiereńskiego — pokrył krwawym całunem niemal całą Rosję.

Zaraza bolszewicka, mająca jądro w Piotrogradzie, zapuszczała swe śmiertelne korzenie we wszystkie kierunki olbrzymich obszarów państwa rosyjskiego, niszcząc wszystko po drodze co tylko przypominało czasy monarchji, dobrobytu i kultury. Tłumy ciemnych indywiduów brodziły obecnie w bezładnych kupach po całem mieście, a niosąc na swym czele charakterystyczne krwawe znamiona, raczej ryczące jak śpiewające, zawodziły rewolucyjne pieśni.

Ludność cywilna pochowana była po piwnicach, sklepy pozamykane, na ulicach prócz hałaśliwie przeciągających manifestantów, było zupełnie pusto; ruch przemysłowy i handlowy ustał zupełnie.

Tłumy rewolucjonistów - niszczycieli, korzystając z ogólnego bezprawia, a raczej ich językiem nazwanej „swobody", nieskrępowanej przez nikogo, rozprawiały się na swój sposób na bogatych kupcach, przemysłowcach i oficerach armji carskiej, rabując doszczętnie mienie pierwszych i rozstrzeliwując bez najmniejszego sądu drugich. Los tych ostatnich już z samego początku rewolucji nie był do pozazdroszczenia, gdyż jeszcze za rządów Kiereńskiego istniejące tak zwane „wybornoje naczało" czyniło wielokrotnie pułkownika — kucharzem, powierzając równocześnie prostemu szeregowcowi dowodzenie pułkiem. Łatwo sobie wyobrazić, jakie już wówczas były porządki i jak wyglądała ta niegdyś straszna armja carska, mając tego rodzaju dowódców.

Wszyscy oficerowie, którzy dostali się w ręce tych oprawców, w przeważnej części nie oglądali już światła dziennego. W owych dniach grozy w Penzie zostało wymordowanych kilkaset oficerów, w tej liczbie wielu oficerów sztabowych, jakoteż członków arystokratycznych rodów.

Motłoch przypomniał sobie o istnieniu olbrzymich składów spirytusu, znajdujących się na końcu miasta, gdzie też niezwłocznie przypuścił szturm. Rozbiwszy cysterny, zawierające po kilkaset tysięcy litrów spirytusu, ludzie ci na sam widok tegoż stali się istnemi zwierzętami. Wielotysięczny tłum zapomniał o głoszonych niedawno i słuchanych z namaszczeniem ideach bolszewizmu, rzucił się ku płynącym rzekom wódki, bijąc się i mordując wzajemnie o miejsce, a dopadłszy doń, kładli się na ziemię, żłopiąc piekielny napój aż do utraty przytomności, a nawet życia. Inne znów tłumy, dotarłszy do wnętrza zabudowań magazynowych, tłoczyły się około cystern, staczając formalne wojny o dostęp do wierzchołków, gdzie — pijąc spirytus również w pozycji leżącej — bywali strącani do środka przez swych niecierpliwie czekających swej kolejki towarzyszy, ponosząc oczywiście śmierć na miejscu.

Wrzawę, wrzaski, strzelaninę i krzyki słychać było w całem mieście. Ludność cywilna drżała w słusznej obawie rzezi, jaka mogła nastąpić przez pijane tłumy. W końcu orgjom tym położył kres wstrząsający wybuch i olbrzymia łuna pożaru. Widocznie któryś z pijanych rzucił ogień do płonącego spirytusu, który przeniósł się z błyskawiczną szybkością do cystern, a powodując natychmiastową eksplozję ich zawartości, pogrzebał około dwóch tysięcy pionierów rewolucji. Siła wybuchu była tak wielka, że części żelazne urządzeń fabrycznych rozrzucone zostały na przestrzeń dwóch i trzech wiorst.

Faktyczny kres tym orgjom położyło przybycie większych oddziałów wojsk czerwonych, jakoteż przedstawicieli władz centralnych, które zaprowadziły względny ład i porządek, dozwalając przelęknionej i gotującej się na śmierć ludności cywilnej swobodnie odetchnąć. Nowoprzybli „towarzysze" na czele z „komisarzami", ubranymi od stóp do głów w czerwone mundury w rodzaju strojów katów średniowiecznych — zaprowadzając po swojemu nowe bolszewickie porządki, ogłaszali niemal co godzinę rozmaite rozkazy i cyrkularze, które swą sprzecznością wprowadzały w błąd każdego chcącego im zadość uczynić obywatela.

W pierwszym rzędzie miały miejsce planowe aresztowania i rewizje na bogatych przemysłowców i kupców, nakładano wprost niesłychane kontrybucje, które nałożone na klasę posiadającą miasta Penzy, czyniły ogólnie kilka miljonów rubli, robiąc z tych krezusów nędzarzy. Wszystkie przed-

siębiorstwa przemysłowe i handlowe, pozostające dotychczas własnością osób prywatnych, przechodziły w myśl nowego programu na własność rządową lub też zostawały przedawane administracji na zasadach kollektywistycznych.

Inteligencja nie miała się bynajmniej lepiej. „Towarzysze" nie mogli znieść widoku inteligentnych twarzy i przyzwoitych ubiorów. Na urzędników, lekarzy, inżynierów i t. p. patrzano z podełba, nazywając ich „biełoruczki" i dopatrując się w każdym kontrrewolucjonisty. A nawet i klasa pracująca, tj. rzemieślnicy i robotnicy, którzy oddawali się w dalszym ciągu swym pokojowym zajęciom, nie biorąc udziału w mityngach, zebraniach i wiecach bolszewickich, nie cieszyli się zbytnią sympatją „robotniczo - włościańskiej władzy", która mawiała „że kto nie jest z nami — ten przeciw nam".

Po uspokojeniu się wyszedłem wraz z innymi ze swej kryjówki, udając się na miejsce poprzedniej pracy. Jakież jednakowoż było moje zdziwienie, gdy w fabryce w której poprzednio pracowałem, ujrzałem nową administrację. Obecni dyrektorzy, nazwani „towarzyszami - komisarzami", udekorowani w najrozmaitsze kokardy o barwie czerwonej, przyjęli nas ogólnie nieprzychylnie i zwrócili uwagę, że chcąc nadal pracować, winniśmy się wpierw zarejestrować w różnych wymienionych przez nich towarzystwach, związkach i partjach i wypełnić odpowiednią ankietę, zawierającą aż 22 pytania. Po uskutecznieniu ostatniej formalności, tj. wypełnieniu rzeczonego kwestjonarjusza, nasi nowi władcy zwracali szczególną uwagę na jedno pytanie, brzmiące „do jakiej partji politycznej należy" i tych, którzy w tej rubryce nie podali, że należą do partji komunistycznej, niezwłocznie zwalniali z pracy, podkreślając słowo „bezpartyjny" czerwonym ołówkiem.

I tak z nastaniem nowego porządku rzeczy wielu ludzi, którzy nie chcieli zapisać się do partji komunistycznej, w liczbie których i ja się znajdowałem, pozostało bez chleba. Widząc, że w Penzie nie pozostaje mi nic do czynienia, a to ze względu braku pracy i wzmagającego się z dnia na dzień czerwonego terroru, postanowiłem wyjechać w głąb Syberji. Po otrzymaniu odpowiedniej przepustki, wydanej przez miejscowy „Wojennyj Komisarjat" na nazwisko w myśl wyrobionego poprzednio dokumentu w Komitecie ukraińskim, udałem się na dworzec kolejowy i przeszedłszy przez szereg rewizji dokumentów i rzeczy, wsiadłem do wagonu i opuściłem szczęśliwie Penzę.

W początkach objęcia władzy przez bolszewików istniały w każdej gubernji oddzielne republiki, rządzące się samodzielnie, które wykonywały tylko te rozkazy, wydawane przez władze centralne, które były im na rękę, pozatem stosowały wyłącznie swe własne rozporządzenia lokalne. Tym sposobem potworzono najrozmaitsze samorządy, które wydając wręcz przeciwne rozporządzenia w jednem i temsamem miejscu, tworzyły trudny do wyobrażenia chaos. To samo działo się na kolejach. Pociąg sformowany w Penzie, mający marszrutę na Czelabińsko, gdy tylko dostał się w sferę innego naczelnika wojskowego, został natychmiast rozformowany i przydzielony do innych pociągów, zdążających w zupełnie inne strony. Zmuszeni więc byliśmy podczas swej podróży kilkakrotnie przesiadać i wyczekiwać po dniach i nocach na odpowiednie dla nas pociągi. Nadmienić przy tem wypada, że przy tego rodzaju ciągłych przesiadkach, postradaliśmy wiele z naszego bagażu, gdyż złodziejstwo i wszelkiego rodzaju inne nadużycia były podówczas bardzo rozpowszechnione. Głód przy tem, niewygody, brak urządzeń sanitarnych, powodowały częste choroby, a każdy kto zachorował w drodze, zdany był na łaskę losu, ponieważ nikt bynajmniej nie troszczył się o niego.

W takich to warunkach, dzięki tylko memu żelaznemu zdrowiu i silnej woli, aczkolwiek głodny i bez jednej kopiejki w kieszeni, po trzech tygodniach takiej podróży, przybyłem nocą do Czelabińska. Na stacji pomimo nocy panował ożywiony ruch, gdzie skupione było kilkadziesiąt pociągów przeważnie z ludźmi.

Ponieważ głód dokuczał mi dotkliwie, sprzedałem niezwłocznie parę bielizny i część otrzymanych po dłuższych targach pieniędzy użyłem niezwłocznie na zakup chleba. O spaniu nie było mowy, ponieważ poczekalnie, peron i wszelkie inne miejsca przepełnione były ludźmi.

Kręcąc się tu i tam, miałem możność rozmawiania z rozmaitego rodzajem ludzi, którzy jechali bądź z Rosji do Syberji lub też odwrotnie, jednakże liczba tych ostatnich była znikoma. Ludzie ci, po największej części bogaci, przedstawiali obecnie zupełne ubóstwo i stanowili ofiary bolszewickich rządów, którym zrabowano mienie, godności, urzędy, a nawet pozbawiono życia ich rodzin. Nieszczęśliwci ci, zrezygnowani i złamani nieszczęściem, nie mogli nawet oskarżać się w obawie podsłyszenia przez czyhających na każdym kroku szpiegów „czerezwyczajki". Po całonocnej prawie wędrówce po dworcu kolejowym, nasłuchawszy się i napatrzywszy najrozmaitsze sceny, pomyślałem nad swym przyszłym losem, w którym to celu zacząłem zasięgać języka wśród miejscowych robotników kolejowych. Dowiedziawszy się o miejscowych stosunkach, zdołałem wejść w ściślejszą komitywę z pewnym urzędnikiem ruchu, który był sam przeciwnikiem bolszewików i zajął się bezinteresownie moim losem, dając mi narazie u siebie mieszkanie i obiecując wystarać się dla mnie odpowiednie zajęcie. Było to dla mnie nie lada szczęście, albowiem bez pomocy tego szlachetnego rosjanina byłbym skazany na bezustanną tułaczkę a może nawet śmierć głodową: to też po dzień dzisiejszy żywię ku temu człowiekowi nie-

wygasłą wdzięczność. Nowy mój opiekun odstąpił mi część swego pokoju, dając mi możność doprowadzenia mego ciała do porządku. Pokrzepiwszy się snem — który trwał do wieczora — obudziłem się zupełnie wypoczęty. Gospodarz mój postawił niezwłocznie posiłek, a po spożyciu tegoż, zaczął się wypytywać mię o różne dane tyczące mojej osoby celem zadośćuczynienia obietnicy wyszukania mi posady. Po skończonej rozmowie zapewnił mię solennie, że do trzech dni przy jego stosunkach uda mu się gdzieś mię umieścić.

Nie minęły jeszcze zapowiedziane trzy dni, gdy w południe wszedł — a raczej wbiegł — do mieszkania mój towarzysz, oświadczając mi z rozpromienioną twarzą, że udało mu się znaleźć dla mnie zajęcie w warsztatach kolejowych, zniewalając mię do niezwłocznego udania się z nim do kierownika, celem omówienia warunków. Po przybyciu do „towarzysza kierownika" i odpowiedzi na zadane mi pytania — widocznie się podobałem, gdyż zostałem niezwłocznie przyjęty.

(C. d. n.)

RAFAŁ HIRSCH.
weteran 1863 r.

Wspomnienia z 1863 r.

Rekonesansy konnych w dwóch kierunkach wysłano na zwiady — my na koniach, piechota przy karabinach. Rozkaz: „zachować się w ciszy, nie kurzyć papierosów ani lulek". Obok mnie stał na koniu porucznik z wojsk rosyjskich i przez zapomnienie lulkę trzymał w zębach, z której się cienkim dymkiem swędziło. Major Lutyński, lustrując szeregi, spostrzegł por. obok mnie z fajką — skokiem konia podjechał do niego i palnął go w policzek, że aż mu fajka z zębów ku mojej stronie wypadła. Krzyknął: „rozkaz! palić zabroniłem!". Porucznikowi potoczyła się łza po wąsach.

Rekonesansy powróciły. Jeden pluton jazdy pozostał w miejscu, a oddział w szybkim pochodzie o jakich kilka wiorst zboczył w obszar lasu. Pozostały pluton naszych konnych — dał się zoczyć kozuniom, szachując ich kontramarszem, później połączył się z oddziałem.

Na skraju leśnej drogi za siołem — zdaje się drogi dość ruchliwej — byłem postawiony na wedecie, kiedy oddział we dworze wypoczywał. Obowiązkiem wedety — nie alarmować bez racji oddziału, czy to w dzień, czy to w nocy, czuwać traktu powierzonego mu od napadu nieprzyjaciela.

Wczesnym rankiem postawiono mię na wedecie; było to w miesiącu lutym, przy pięknym wschodzie słońca. Widzę, że ze sioła i dworu postoju pięknym rankiem, skrzypie mroźną drogą oddział naszych z ponsowemi czapkami do 20 ludzi: idą w kierunku do mnie. Porucznik Fischer prowadzi ten oddziałek, przeszedł cały oddział obok mnie, stojącego na wedecie i z drożyny zboczyli na prawo w las drzew sosnowych. W środku oddziału, pod bagnetami, Kryczuk — dezerter wojsk rosyjskich, chłop w wieku lat około 40, obok niego postępuje nasz kapelan. Za Kryczukiem idzie dwóch wieśniaków z oskardami na ramieniach. Kryczuk rzucił się ku mnie i zawołał: „praszczaj brat, praszczaj kolega, daruj mienia żytia".

Mróz ulotnił się ze mnie i gorąco uderzyła mię w głowę. Nic innego, Boże mój! Prowadzą Kryczuka na rozstrzelanie! Może na jakich 60 do 80 kroków odemnie oddział się zatrzymał. Wieśniacy łopatą odsunęli śnieg na jakie 6 stóp kwadratowych miejsca i oskarami poczęli kuć w zamarzniętej ziemi dół. Wnet gotów był dół głęboki na łokieć. Dwóch żołnierzy podprowadziło rozebranego z wierzchniej odzieży skazanego i Kryczuk wpatrzył się w jamę niegłęboką. Zawiązano Kryczukowi chusteczką oczy i postawiono plecyma nad jamą. Przed nim, na jakich kroków ośm, już byli ustawieni w dwa rzędy jeden za drugim po trzech żołnierzy z karabinami, z przodu por. Fischer wzniósł wyciągniętą szablę w górę — pierwszych trzech żołnierzy równocześnie przyłożyło karabinki do ramienia i równocześnie zmierzyli w pierś Kryczuka. Oficer machnął pałaszem w dół, padły trzy strzały z trzaskiem. Kryczuk naprzód jak długi runął o ziemię.

Grabarze zakrywali ciało Kryczuka grudami — patrzyłem, jak nad mogiłą starannie grudą zmieszaną śniegiem kopiec ubili i milcząc z odkrytemi głowami w zadumie ku siołu poszli.

Kryczuk okradł kolegę przed paru tygodniami, dowiedziono mu to i otrzymał 10 rózg na poprawę. Później znikł z oddziału z koniem i zbroją. W 10 dni żandarmerja nasza dostała go i do właściwego oddziału dostawiła. Konia sprzedał chłopu, broń gdzieś w lesie porzucił. Za czyn ten sąd wojenny skazał go na rozstrzelanie. Było to w Lubelskiem w pierwszej połowie lutego 1864 r.

Oddziałem naszym dowodził mjr. Rylski, był i mjr. Jagmin z nami.

Oddział stanął na spoczynek we dworze. Rozstawiono wedety.

Usłyszeliśmy strzał jeden, po nim drugi i trzeci. Ja kułem konia w kuźni przydrożnej — galopujący ułan nasz krzyknął do mnie: moskale!

Zabrałem odkutą podkowę jeszcze gorącą ze

śniegiem do sakwy i ruszyłem do oddziału, by stanąć w swoim plutonie.

Kawalerja strzelców usadzona została na szlaku zbliżających się moskali, piechotę umieszczono na podwody i wraz z niemi poszła część jazdy — i marsz przez puste pole, by dojść do w dali czerniącego się lasu.

Naszych konnych strzelców plutony trzy rozciągnęło się w tyraljerę z koni. Na nas wysypało się kozactwo.

Dobry kilometr przestrzeni polem mieliśmy przebyć do lasu. odstrzeliwając się kozakom, za którymi dążyli dragoni i piechota.

Około 50-ciu dragonów rosyjskich pędem usiłowało okolić naszą piechotę, by zatrzymać nas do bitwy w czystem polu — ale piechota wstrzymana na komendę, zeskoczyła szybko z podwód i uderzyła w dragonów. Ci, rażeni celnemi strzałami — zmieszali się i nie nacierali już. Piechota dostała się w las grubego drzewa, a my jesteśmy dopiero w połowie drogi do lasu.

Rotmistrz nasz Jaszewski i adjutant Kozioracki pędem swych rumaków dojechali do nas i gwizdem świstawek ściągnęli nas do siebie i rozdzielili nas na dwie połowy.

„Rotami stępo marsz!" — zakomenderowano. Rotmistrz poprowadził grupę lewą, adjutant Kozioracki prawą. Karabinki przez ramię i galopem wyciągniętym ruszyliśmy widłem do lasu. Okrążyliśmy naszą piechotę, dość zdaleka; stron obu na tyły i boki naszych w spokoju rozlokowanych strzelców.

Zobaczywszy nas za sobą na zdyszanych koniach, ucieszeni krzyknęli: „wiwat jazda nasza! Nie opuszczajcie nas, chrońcie nam boki i tył! Damy tu mochom!"

Dragonja moskali ustawiła się na bokach swojej zbliżającej się piechoty i kozacy pozostali w tyle za piechotą.

Środkiem rozszerzyła się ich piechota i posuwała się wolnym krokiem do lasu, wprost na oddział naszych strzelców, ukrytych za grubemi drzewami.

Stanęli i rotowym ogniem zaczęli strzelać w las. Kule ich bryznęły po gałęziach i pniach grubych drzew, rekoszując od drzewa do drzewa, obdzierając korę.

Nasi rozciągnięci na dość szeroką przestrzeń w lesie. Komenda naszych dowódców: „kryć się z palcem na cynglu!" — a kiedy linja żołnierzy rosyjskich już zbliżyła się na dobry i skuteczny strzał, zakomenderowano: Pierwsza kompanja celnie ognia w nich; następnie w odstępach kompanja druga i tak dalej w tym porządku! — tak, że za kompanją ostatnią, pierwsza już miała broń gotową do strzału.

Kozacy natarli na prawe skrzydło z okrzykiem „hura! hura!". Lecz sformowana kawalerja nasza z rotmistrzem na czele pałaszami spędziła ich z pola. Strzelanina taka trwała dość długo. Moskale nie narażali się zbytnio, a miało się już ku wieczorowi. Usadzono naszą piechotę na zarekwirowane podwody i z częścią kawalerji — z każdej kompanji strzelców piechoty po jednemu — pozostała na miejscu dla zaszachowania moskali.

Część kawalerji pozostałej rozciągnięto we flanki — prawie po 30 kroków jeden od drugiego — i pod kierunkiem poruczników ciągnęliśmy za naszą odeszłą piechotą.

Z pola walki zabrano trzech naszych zabitych i siedmiu rannych. Ja dostałem piką kozacką w kłąb boku lewego, lecz przez płaszcz i kożuszek końcem w kość zostałem ukłuty: myślałem, żem ranny od kuli. Była to niewielka ranka, zapychałem świeżym serem, co mi wielką ulgę sprawiało i goiło.

Co się stało z sześcioma naszymi, pozostawionymi dla szachowania moskali — wiadomości żadnych nie mam.

Drugiego dnia w południe zaobozowano na dobre w młodniku sosnowym dla uporządkowania ludzi i koni. Około godziny drugiej z południa przybyło do nas kilka sanek gości obywatelstwa. pewnie z niedalekich dworków. Przybyli — poważni obywatele i obywatelki — gratulowali nam z ostatniej potyczki zwycięstwa. Dowiedzieliśmy się od nich. że ubito dwóch starszych moskali i coś z piętnastu sałdatów; a rannych coś na kilka wozów zebrali oni z pola bitwy.

Przywieźli oni nam coś ze cztery beczułek piwa, kilka kociołków bigosu — ale bo też i było komu jeść — piechota Jagmińczuków w czerwonych czapach przeszło 50 chłopa. Ćwieków w burkach i baszlikach również około 50 chłopców. kawalerzystów ze sztabem i z wolontarjuszami z 50 — liczba ta podtrzymywała się z robitków innych partji — więc i było spragnionych gęb dość.

Wódki dobrej było dość: każdy dostał do manierki i też papierosy.

(C. d. n.)

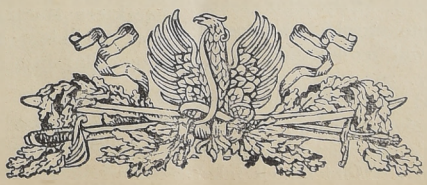

Notatki

Otrzymujemy nast. pismo:

Odnośnie do artykułu w Nr. 56 „Panteonu polskiego" p. t. „Wojsko austrjackie w walce z P. O. W. we Lwowie 1918 r." przesyłam moje wspomnienia z tych czasów.

„Po opuszczeniu szeregów c. k. 41 p. p. w drodze superrewizji w dni kilka po Wielkiej Nocy 1918 r. zetknąłem się z kilku znajomymi z przedwojennego „Strzelca" i z formacji legjonowych, a posiadających tak jak ja legalne dokumenty zwolnienia z wojska austr.

Bez względu na przynależność brygadową postanowiliśmy za inicjatywą ówczesnego chor. śp. Aleksandra Nowosada założyć ulegalizowane stowarzyszenie p. t. „Wzajemna pomoc byłych Legjonistów" by pod firmą tą iść z pomocą tym towarzyszom broni, którzy z różnych przyczyn ukrywać się musieli przed czujnem okiem agentów policyjnych, polujących na niewinnych. A było za czem polować: bractwo rozlazło się po kraju jak mrówki z rozbitego mrowiska. A co ostało w szeregach c. k. armji to albo szło na „pomarańcze" przy lada okazji, albo też szerzyło „nielojalną" organizację wśród oficerów i żołnierzy polaków armji austrjackiej.

Kto czuł się Polakiem pomagał naszym łazikom. Jako dowód niech posłużą fakta takie:

Koniecznie potrzeba kilkanaście rozkazów wyjazdu t. zw. „Offener-Befehl" — by usunąć ze Lwowa tych, którym już agenci po piętach łazili. Zdobyto kilka egzemplarzy z „Platz-Komando", dzięki pracującemu tam wówczas tak popularnemu we Lwowie aktorowi śp. Ludwikowskiemu-Halskiemu.

Podpisany. Roskosz Franciszek i Marjan Rotter — jako drukarze złożyliśmy formę z dobranych umyślnie czcionek i za dwa dni mieliśmy już wytłoczonych około 300 egzemplarzy potrzebnych druków. Druga wyprawa do śp. Ludwikowskiego i rzekomo dla celów archiwalno-pamiątkowych otrzymaliśmy odbitki wszystk. stampilii z podpisów urzędujących c. k. oficerów — dalsze dwa dni i wysyłka ludzi do Warszawy lub na Ukrainę uruchomiona.

W tym okresie czasu zetknąłem się po raz pierwszy z niejakim Statkiewiczem, rzekomo legionistą-podoficerem z 6 p. p., który jako rzekomy dezerter z armji usilnie starał się wydostać „białko" na podróż. Podawał jednak tak mylne — a nawet zmyślone daty ze swej rzekomej służby — że zrodził wśród nas podejrzenie. Jak następnie od innych kolegów się dowiedziałem miał on przebywać w Krakowie z śp. Edwardem Wydrzyńskim w więzieniu na Montelupich jako Tadeusz Karski, w Przemyślu zaś występował pod nazwiskiem Tadeusz Petry.

Wobec odmowy w „Wzajemnej pomocy" rzekomy Statkiewicz przestał tam przychodzić w niedługim jednak czasie nastąpiła wsypa obyw. Adama Próchnika (z organizacji „Wolność") oraz wsypa chor. Śliwińskiego (z „Wzajemnej pomocy") — który dzięki wyjazdowi do Warszawy uniknął aresztowania.

Obie te sprawy na ten sam temat nosiły l. 10568/1 i Dot. 1649/18/2. Sądu Obrony Krajowej we Lwowie.

Muszę podnieść stanowisko dr. T. Zająca (adwokata-starorusina), który zajęty przy tych sprawach sam je wikłał na naszą korzyść, każąc oskarżonym i świadkom pisać własnoręcznie swe zeznania, które następnie koncepował odpowiednio.

Również muszę podnieść rolę p. Świderskiej i p. Aulicha — z których pierwsza prowadziła kontrolę kuchni obywatelskiej przy pl. Ducheńskiego, drugi zaś kierownikiem takiej kuchni w „Domu katolickim" — oboje zaś nie tylko brać naszą pożywili niejednokrotnie, lecz byli również łącznikami w dostarczaniu potrzebującym dokumentów, naturalnie „lewych".

Ostatni termin przesłuchania mego miał miejsce dnia 26. X. 1918 i na nim zapowiedziano mi, że będę jeszcze raz powołany dla konfrotacji z innymi posądzonymi — noc jednak z 31. X. na 1. XI skreśliła sprawę z indeksu przestępstw naszych względem „wspólnej ojczyzny austrjackiej".

L. N.

* * *

Klingsland St. Sigiswond: „**Pilsudski Les Documentaires**" editions Kra 36 rue Rodler. Paris 1929, str. 180 — 16-stka.

Jestto pierwsza biografja Komendanta, napisana w oryginale po francusku i wydaną przez zawodowego nakładcę. Autor, artylerzysta w wielkiej wojnie, ochotnik armji francuskiej, ranny i odznaczony, z dawna osiadły w Paryżu, jest współpracownikiem pism polskich i francuskich, piszący studja i krytyki estetyczno-malarskie.

Książka „Piłsudski", zawiera wstęp, czternaście rozdziałów biografji i bibljografję źródeł. We formie opowiadań — przytacza Klingsland kycie i czyny Komendanta od czasów sybirskich po ostatnie dnie; autor uwypukla dominujący rys charakteru Marszałka i daje subtelnie dokładny obraz Wielkiego Męża obecnej Europy. Książka ta znalazła duże powodzenie w Francji.

* * *

Smogorzewski Kazimierz, autor wielu książek, polit. korespondent wielu pism polskich, napisał większą książkę w języku francuskim p. t.

„Joseph Piłsudski, Soldat de la Pologne restauree-Etude biographique" (wyd.: La Renaissance du Livre — str. 280). Autor wydał tę książkę jako Jacques de Carency.

Jestto biografja Marszałka w siedmiu rozdziałach; autor opisuje młodość Józefa Piłsudskiego, akcję konspiracyjno-powstańczą, kreśli linje polityki wojennej Marszałka, jego pracę jako Naczelnika Państwa i stosunek jego do polityki zagranicznej. Podaje ośm opinji cudzoziemców wybitnych o Marszałku, bibljografję jego pism i prac jemu poświęconych w wszystkich językach i wreszcie daje chronologję dat z życia Komendanta.

I ta książka znalazła we Francji wielkie powodzenie.

„SPRAWY NARODOWOŚCIOWE".

Ukazał się Nr. 1, Rok III-ci „Spraw Narodowościowych", czasopisma poświęconego badaniom spraw narodowościowych. Na bogatą treść numeru (str. 196) składają się następujące artykuły: p. Leona Zieleniewskiego p. t. „Zasada samookreślenia narodów", p. Stanisława Gorzuchowskiego p. t. „Litwini na pograniczu Państwa Polskiego", w którym podany został m. in. wyczerpująco wykaz literatury, dotyczącej omawianego w tej pracy przedmiotu, * * * p. t. „Mniejszość niemiecka w Czechosłowacji", zawierają szereg nader interesujących danych o Niemcach w Czechosłowacji oraz artykuł p. P. Sulatyckiego p. t. „Ukrainizacja na Kubani", w którym przedstawione zostały rzeczywiste tendencje polityki sowieckiej wobec mniejszości ukraińskiej w R. S. F. S. R.

Pozatem numer zawiera, jak zwykle, bardzo obszerną, **aktualną i interesującą kronikę** ze spraw, odnoszących się do mniejszości narodowych w Polsce, zagadnień narodowościowych poza Polską i kwestyj mniejszościowych na terenie międzynarodowym i t. d.

Administracja „Spraw Narodowościowych", Warszawa, ul. Jasna 19, (II. piętro), tel. 46-64.

* * *

Poświęcenie pomnika Lisa-Kuli w Torczynie. W tych dniach staraniem mieszkańców Torczyna i oficerów garnizonu łuckiego odbyło się poświęcenie pomnika ś. p. Leopolda Lisa-Kuli, ppłk. W. P., poległego w obronie ziem wołyńskich w 1919 r. od kuli wojsk Petlury w czasie mężnie zdobywanego miasta Torczyna. Na poświęcenie pomnika przybył woj. wołyński Józefski w tow. starosty pow. łuckiego. Przybyły nadto z Łucka kompanja strzelców oraz delegacje różnych związków i drużyn żeńskich z wojskową muzyką 24 pp. z Łucka. Po poświęceniu pomnika wygłosił przemówienie pułk. garn. łuckiego p. Kołabiński, woj. wołyński Józefski itd., w języku ukraińskim przemawiał nauczyciel ukraiński Konkiewicz, który tak jak i poprzedni mowcy skreślił zasługi ś. p. Lisa-Kuli. Po skończonej uroczystości odśpiewano Rotę.

Święto 2 P. A. P. Legjonów. W dniach 11 i 12 czerwca b. r. 2 pułk. artylerji polowej Legjonów, stacjonujący w Kielcach, obchodzić będzie uroczyście swe święto. Podczas uroczystości nadana będzie po raz pierwszy odznaka pułkowa, która wykonana jest dwojako: a) emaljowana ze srebrnym orłem i b) metalowa bez emalji. Wszyscy, którzy mają prawo do noszenia tej odznaki i pragną jej nadania, winni do 3 czerwca br. przesłać podania do dowództwa pułku w Kielcach.

W Stanisławowie z okazji 10-lecia odbyły się wielkie uroczystości dnia 25 maja b. r. Wielkie zasługi przy zajęciu miasta w 1919 r. położyła **P. O. W.**, która poza Lwowem, była jedyną organizacją w Małopolsce wschodniej dobrze zorganizowaną i która obowiązki swe wypełniła bez najmniejszego zarzutu.

W nast. zeszycie napiszemy obszerniej o tej pracy P. O. W. w Stanisławowie.

Konieczny Włodzimierz, człowiek i artysta, napisał Przecław Smolik, 4° na kredowym papierze, stron 20+44 z teki graficznej, rzeźb i ozdób graficznych. Odbito tylko 500 egz. numerowanych. Każdy kto tylko interesuje się i miłuje te czasy walk o Wolność powinien nabyć książkę o poległym poruczniku I. Brygady Legjonów, wielkim artyście i człowieku. Cena 7 zł. 50 gr. egz. **numerowany).** Nabyć można w administracji „Panteonu".

MARS W KARYKATURZE. album pamiątkowe, rys. **Czermański, 250 karykatur** wojskowych, wśród nich Marszałek Piłsudski, gen. br. Żeligowski, gen. Hallen i wielu innych, pozatem b. wielu oficerów z terenu D. O. K. VI, dziś na różnych stanowiskach w całej Polsce.

Prenumeratorowie „Panteonu Polskiego" mogą nabyć ten album za zniżoną cenę t. j. 5 zł. (z przysyłką). **Kto zjedna dwóch półrocznych czytelników „Panteonu"** otrzyma Album **darmo i opłatnie.**

Zgłoszenia do administracji „Panteonu" we Lwowie, Skrytka 98.

OD REDAKCJI.

Następny zeszyt wyjdzie w połowie lipca b. r., będzie poświęcony 15-letniej rocznicy wymarszu „Strzelców“ w dniu 6 sierpnia 1914.

Numer zawierać będzie 24 stron druku.

Prosimy Czytelników naszych o nadesłanie nam wspomnień z fotografjami z tych czasów.

Wyrównać zaległość za 2 kwartał i wpłacić przedpłatę na 3 kwartał — oto skromny obowiązek!

Zamówienia na większą ilość egzemplarzy „Panteonu“ sierpniowego przyjmujemy do 1 lipca b. r.

Kto otrzymał „Panteon Polski“ i niema zamiaru prenumerować — niechaj zwróci ten zeszyt, względnie niechaj uiści kwotę 90 gr.

Każdy czytelnik powinien zjednać jednego nowego prenumeratora.

Józef Piłsudski o Sobie

zebrał i wydał Z. Zygmuntowicz.

Treścią tej książki jest życie i przeżycia Marszałka od kolebki do ostatnich czasów, według

własnych słów i opisów

Przeszło 120 stron druku dużego formatu, kilkadziesiąt ilustracji.

Nieznane opisy z życia Komendanta, przewijające się od dzieciństwa w Żułowie, poprzez lata szkolne, sybirskie szlaki, katorgi i wygnanie w Tunce, X pawilony, przygotowania do ruchu zbrojnego, poprzez organizacje Strzelca, walki w Legjonach, Magdeburg i Naczelnikostwo Państwa, poprzez lata walk o wolność w 1920 r. i wreszcie do ostatnich czasów, wszystko opowiedziane, wzgl. opisane przez Marszałka w różnych czasach i okolicznościach.

Książka nieodzowna przy uroczystościach, przemówieniach i t. p.

Każdy Polak powinien poznać życie WIELKIEGO CZŁOWIEKA naszej doby, zwłaszcza z Jego własnych słów.

Cena tej książki wynosi 10 zł. (opr. 15 zł.).

Dla P. T. Wojskowych i Urzędników Państwowych, Policji Państwowej, Nauczycieli i Bibljotek publicznych i naszych rocznych prenumeratorów cena zniżona

tylko 8 zł. opłatnie.

(Oprawiona w płótno z złoconym napisem zł. 12 opłatnie).

Każdy Komitet Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego powinien zakupić **większą ilość** tych książek, by ofiarować je biorącym udział w marszach, świętach P. W. i t. d. w zamian za przedmioty często zagranicznego wyrobu. By umożliwić **Komitetom W. F. i P. W., Dyrekcjom Szkół, Stowarzyszeniom** i t. d. zakupno tych książek, udzielamy przy **większych zamówieniach** dalszego rabatu.

Zamówienia prosimy skierować pod adresem Administr. „Panteonu Polskiego“ Lwów Skrytka 98

REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z. ZYGMUNTOWICZ. ADR. RED. I ADM. LWÓW, SKRYTKA 98 — TEL. 22.90.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF., „ARS“, SYKSTUSKA 52. — DRUK. „SZTUKA“, PLAC STRZELECKI 2.